

———— BEATA KANIK ————

CZUWAŁAM  
PRZY UCHYLONYM  
OKNIE

WYDAWNICTWO WAM

*Książkę tę dedykuję najbliższemu memu sercu Osobom, którym towarzyszyłam w odejściu do wieczności. Łączę się ze wszystkimi, którym przyszło zmierzyć się z potworną chorobą, jaką jest nowotwór. Życzę Wam dużo siły i wiary. Tę walkę można wygrać, nigdy więc nie traćcie nadziei.*

*Składam wyrazy współczucia wszystkim osieroconym Rodzicom i tym, którym ta choroba zabrała Bliskich.*

*Wieczne odpoczywanie racz Im dać, Panie...*

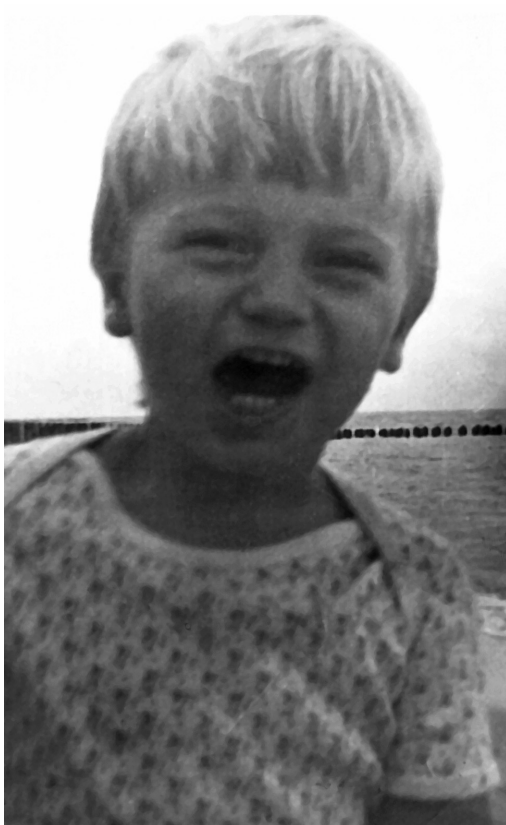
*Pokój Ich duszom...*



Bieszczady, w ogrodzie cioci Marysi, 1996.  
Jako pierwszy biegnie Marcin.

Kiedy po raz pierwszy zrodziła się we mnie myśl, aby napisać ten pamiętnik, zaczęłam się śmiać sama z siebie. Bo co może stworzyć zwykła kobieta, która od dwudziestu trzech lat zajmuje się domem i wychowywaniem dzieci? W końcu jednak usiadłam przy biurku i wzięłam pióro do ręki. Staralam się przypomnieć sobie, co działo się dzień po dniu. Opisać uczucia, które towarzyszyły mi podczas dziesięciomiesięcznej choroby syna. Nikt, kto tego nie przeżył, nie jest w stanie sobie wyobrazić, co czuje matka w obliczu choroby, która zaatakowała jej ukochane dziecko. I choć Marcin był już wtedy dorosłym mężczyzną, to dla mnie był przede wszystkim dzieckiem, moim dzieckiem.

Opisuję w tej książce „rekolekcje”, jakie odbyłam w czasie choroby mojego syna i męża. Choroba i śmierć ich obu spadły na moją rodzinę jak grom z jasnego nieba. Zanim jednak odeszli, dali mi prawdziwą szkołę życia. Ziarno, które zasiał okres opieki nad nimi, nie zginie, nie zmieni się w plewy, lecz będzie przynosić plon. Dzięki nim jestem innym człowiekiem. Moja dusza jest piękniejsza. Dlatego ich śmierć nie będzie pozbawiona sensu. Choroba moich bliskich nauczyła mnie, że z życia trzeba czerpać garściami, każdy dzień przyjmować tak, jakby miał być ostatni. A co najważniejsze: mówić wszystko, co chcemy sobie powiedzieć, nie odkładać niczego na potem, na jutro, bo dla niejednego z nas to jutro może już nie nadejść.



Marcin. Sianożęty, 1985

*Przygotuj się na trudności, bo to nieodłączna część życia, i kiedy nadejdą, trzymaj głowę wysoko, spójrz im prosto w oczy i powiedz: „Będę od was silniejszy. Nie dam się złamać”.*

ANN ANDERS

W czerwcu 2004 roku Marcin po raz pierwszy wspomniał, że wyczuwa na jądrze jakąś narośl. „Dziecko – powiedziałam – trzeba iść do lekarza, on to musi obejrzeć, ocenić, co to może być”. Ale wiadomo – dwudziestojednoletni chłopak nie będzie słuchał gderania matki. „Przecież jak tam pójde, to on będzie grzebał mi w slipach” – stwierdził. Trudno nakłonić dorosłe dziecko, aby zrobiło coś wbrew własnej woli. Wie to na pewno niejedna matka. I tak miały kolejne dni, a ja co jakiś czas prosiłam: „Synusiu, idź do lekarza, przecież to tylko badanie, które przechodził już niejeden mężczyzna”. Odpowiedź za każdym razem była ta sama: „Nie”.

Minął czerwiec, lipiec, sierpień... We wrześniu Marcin sam zdecydował, że umówi się na wizytę. Lekarz rodzinny obejrzał go i skierował na konsultację do urologa. Dnia 21 września 2004 roku syn trafił na oddział urologiczny specjalistycznego szpitala. Nie wymieniam jego nazwy,

bo wyrządzono tam naszemu dziecku wielką krzywdę. Zasięgnęłam porady prawnej i wiem, że mogłam – i nadal mogę – oddać sprawę do prokuratury. Tyle że to mojemu synowi życia nie wróci.

We wrześniu 2004 roku Marcin został zakwalifikowany do zabiegu wyczyszczenia jądra. Z badań zrobiono mu tylko trzykrotnie USG i lekarze wciąż nie mieli pewności, co znajduje się w jądrze. Zasugerowali się tym, że syn został kiedyś w to miejsce uderzony piłką, i spodziewali się wodniaka. Wielka szkoda, że żadnemu ze specjalistów tak renomowanego szpitala nie przyszło wtedy do głowy, aby zrobić tak proste badanie, jakim jest punkcja. Może wtedy zorientowaliby się, z czym mają do czynienia, i udałoby się uniknąć tej naszej rodzinnej tragedii. Gdyby tylko wszyscy lekarze traktowali pacjentów jak ludzi, a nie jak kolejne przypadki...

Trudno mi nie wracać myślami do tego, co było na końcu, ale po kolei.

Marcin był już po zabiegu, następnego dnia miał wyjść do domu. Bardzo się z tego cieszyliśmy. Chciałam dopytać o postępy w leczeniu, więc czekałam na lekarza, który operował mojego syna. Nie zaprosił mnie do gabinetu, rozmowa odbyła się na korytarzu. „Panie doktorze, niech mi pan powie, co to było? Czy to coś w rodzaju raka?” – zapytałam. Odpowiedział: „Nie, to nie był rak, raczej wodniak, ale prawdę mówiąc, po raz pierwszy widziałem coś takiego”. Na tym zakończyła się nasza rozmowa.

Moje słoneczko wróciło do domu! Po trzech dniach od zabiegu jego stan trochę się pogorszył. Dostał wysokiej gorączki, kaszlał, miał dreszcze, wyglądał źle. „Mamusi – powiedział do mnie – chyba będę umierał, tak bardzo źle się czuję”. Pojechaliliśmy do lekarki, która od kilku lat opiekowała się Marcinem. Syn chorował na oskrzela, był więc pod opieką lekarzy z poradni pulmonologicznej. Dostał antybiotyk i po tygodniu doszedł do siebie. Żył normalnie. Po tygodniu pobytu w domu syn zgłosił się na badania kontrolne. Wszystko było w porządku. Mówiono nam już wcześniej, że wynik badania histopatologicznego będzie po trzech tygodniach. Lekarz poinformował Marcina, że przyjdzie do domu pocztą i mój syn nie musi nigdzie jechać. A jeśli będą jakieś wątpliwości, to szpital się z nim skontaktuje.

Od zabiegu minęło pięć miesięcy. Był luty 2005 roku. W Zakopanem odbywały się skoki narciarskie. Marcin wybrał się na tę imprezę. Był duży mróz – minus dwadzieścia stopni. Wrócił zmarznięty, zmęczony, ale szczęśliwy, że mógł uczestniczyć w takich zawodach. Wkrótce jednak zaczął się skarżyć na bóle pleców i podbrzusza i przyznał się nam, że znowu tworzy mu się na jądrze guzek. Wtedy przypomniałam sobie, że nie znamy wyniku badania histopatologicznego. Miał przyjść do domu pocztą, ale nigdy do nas nie dotarł! A ponieważ nikt się z nami w tej sprawie nie kontaktował, nie pomyśleliśmy nawet, że coś może być nie tak.



Pojechaliśmy do szpitala dowiedzieć się, co stało się z wynikiem. Był tam! Leżał sobie od pięciu miesięcy spokojnie wśród innych wyników. Diagnoza brzmiała: „GUZ POWRÓZKA NASIENNEGO PRAWEGO (LIPOMA? SARCOMA?)”.

Nowotwór!

Rak!

Pierwszy z nich jest łagodny, drugi – złośliwy! Trzeba było szybko sprawdzić, który z nich zaatakował nasze dziecko.

Świat zawalił mi się na głowę! Nie wiedziałam, co robić, jak się zachować. Jak powiedzieć synowi, że czeka go leczenie w szpitalu? Marcin na wiadomość o tym, że musi położyć się na onkologii, zareagował totalnym osłupieniem. Był środek dnia, a on położył się do łóżka i leżał jak ten słup soli, w bezruchu, ze wzrokiem utkwionym w sufit. Nie poszedł do pracy, nie chciał z nami rozmawiać. W takim stanie trwał do następnego dnia. Rano pojechał do szpitala. Tam zrobiono mu serię badań, tomografię komputerową, a także powtórnie poddano analizie wycinek guza, który został pobrany podczas zabiegu. Na diagnozę trzeba było czekać kilka dni.

W końcu ogłoszono wyrok! Nie umiem opisać tego, co czułam, kiedy dowiedzieliśmy się, że nowotwór, który zaatakował organizm naszego syna, jest bardzo złośliwy. Był to dla mnie prawdziwy szok. Stałam jak sparaliżowana. Nie byłam w stanie wykonać żadnego ruchu, w gło-

wie miałam pustkę, w uszach mi szumiało, a twarz paliła, jakby ktoś przykładał do niej ogień. Moje serce waliło tak mocno! Miałam wrażenie, że wyskoczy mi przez gardło.

Diagnoza: „Nowotwór złośliwy – SARCOMA”! Lekarka wyjaśniła, że atakuje on młodych mężczyzn między dziewiętnastym a trzydziestym rokiem życia. Uleczalny w dziewięćdziesięciu procentach, jeśli nie ma przerzutów. Niestety, nasz syn miał przerzuty – pojawił się naciek na pęcherz moczowy. Bez leczenia to, co zostało „rozgrzebane” pięć miesięcy wcześniej, pograżyło moje dziecko!

Mój skarb zaczął chemioterapię. Tydzień w szpitalu, dwa tygodnie na regenerację organizmu w domu, i znowu szpital, chemia. Tak w kółko. Marcin był dzielny. Nie wiem, co czuł, jakie myśli krążyły mu po głowie, nie chciał o tym z nami rozmawiać. Był dorosły, ale dla mnie był wciąż dzieckiem. Wracając pewnego razu z synem ze szpitala, próbowałam z nim porozmawiać na temat tego, co przeżywamy z powodu jego choroby. Tak bardzo pragnęłam go zapewnić, że jesteśmy razem z nim, że to, co go spotkało, dotknęło nas wszystkich, że bardzo go kochamy, że nie jest sam. Nie pozwolił. Kiedy tylko zaczęłam mówić, przerwał mi i powiedział: „Mamo, wiem wszystko od pani doktor. Wiem, że jest to bardzo złośliwy nowotwór, że to bardzo niebezpieczna choroba. Nie chcę o tym rozmawiać, nie chcę wracać do tego tematu. Teraz się leczę i tego się trzymajmy. A co będzie potem? Życie pokaże. Obiecuj mi to, mamo!”.

I co miałam zrobić ja, matka, wobec tak dojrzałej postawy zaledwie dwudziestodwuletniego człowieka?

Mogłam mu tylko obiecać, że zawsze będę z nim, że będę stała u jego boku i nie zostawię go samego w tej walce.

Radził sobie doskonale, był wspaniały w tej naszej wspólnej pielgrzymce. Między cyklami chemioterapii, jeśli tylko pozwalały mu na to siły, starał się żyć normalnie. Miał kolegów, którzy wiernie przy nim trwali. To bardzo ważne, aby człowieka, który walczy z tak potwornym przeciwnikiem, nie zostawić samemu sobie. Wprawdzie bywały dni, gdy Marcin nie chciał, aby kumple go odwiedzali, bo potrzebował samotności, ale oni doskonale to rozumieli. Bywały też takie, kiedy, choć byliśmy w domu tylko we dwoje, nie zamienił ze mną ani słowa. Nauczyłam się jednak znosić wszystko bez słowa skargi. Czasami tylko rzuciłam garnkiem w kuchni albo rozbijałam kotlety tak, że było w nich mnóstwo dziur. W ten sposób wyładowywałam całą złość i walczyłam z bezsilnością.

7 kwietnia 2005 roku. Mój syn po kolejnych cyklach chemioterapii, kiedy guz zmniejszył swoją objętość, został poddany operacji usunięcia chorego jądra. Bardzo to z mężem przeżywaliśmy, staliśmy się nerwowi, wystarczyło jedno niepotrzebne słowo, aby wypłynęła lawina pretensji, którymi zadawaliśmy sobie ból. Nasze małżeństwo przechodziło wtedy bardzo poważny kryzys. Nie umieliśmy sobie nawzajem pomóc, jedno raniło drugie. Często bez powodu. Każde z nas osobno, na swój sposób usiłowało poradzić sobie z tym, co spotkało naszą rodzinę. Było źle.

Odbiegłam trochę od tematu, ale emocje robią swoje. Marcin nigdy nie pozwalał mi zostawać na noc w szpitalu. Nawet kiedy czuł się bardzo źle i miał czterdzieści stopni gorączki, nie zgadzał się, bym mu towarzyszyła. „Jedź do domu, nie rób mi obciachu” – upierał się. W dzień przed operacją też nie pozwolił mi ze sobą zostać, choć tak bardzo go prosiłam. „Chcę być sam, nie chcę nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać, koledzy też niech nie przyjeżdżają” – nalegał. A ja widziałam, jak bardzo cierpi, jak strasznie się boi. Matko Najświętsza! Jak to boli, jak bardzo boli, kiedy nie sposób pomóc swojemu dziecku! Kiedy można tylko patrzeć na jego cierpienie i milczeć, bo ono nie pozwala wypowiedzieć żadnego słowa, uczynić żadnego gestu. Nie pozostało mi nic innego jak uszanować jego wolę, choć jeden Pan Bóg wie, jak było mi ciężko.

Już po wszystkim, operacja zakończona! Siedziałam przy łóżku mojego chłopca, do oczu cisnęły się łzy, ale nie płakałam, nie było mi wolno! On musiał widzieć mamę silną, mocną. Bo z tego widoku – mojej spokojnej, uśmiechniętej twarzy – czerpał siłę do dalszej walki ze swoim wrogiem. Jeśli ta twarz była smutna i zapłakana, to znaczyło, że jest bardzo źle. A ja widziałam, jak Marcin starał się z niej wyczytać, jaki jest stan jego zdrowia. Ile mnie, matkę, kosztowało noszenie maski spokoju, za którą ukrywałam prawdziwe uczucia, wiem tylko ja i te matki, które musiały się zmierzyć z takim samym problemem. Nikt inny nie jest w stanie sobie tego wyobrazić, nawet jeśli

przez grzeczność i z dobrego serca mówi, że wie, co czułam i przez co przeszłam.

Zaczęła się nasza droga przez piekło, tutaj, na ziemi. Było bardzo źle! Umówiłam się na rozmowę z ordynatorem oddziału chirurgii onkologicznej. To on operował mojego syna. Boże!, jak ja się bałam do niego iść. Ale musiałam, nikt inny nie mógł tego za mnie zrobić. Wzięłam głęboki oddech – i w drogę!

Lekarz zaprosił mnie do gabinetu i tam starał się wytłumaczyć, używając jak najmniej terminów medycznych, jak ocenia stan mojego chłopca. Niestety, z tego, co usłyszałam tego dnia, nic nie zostało w mojej głowie, nic nie umiałam przekazać domownikom. Mój świat się walił, a mi pozostało jedynie szukać ratunku u Boga.

W głowie mi się kręciło. Czułam, jak spod nóg usuwa mi się grunt, wszystko wokół wirowało. Trwało to może piętnaście minut, potem wyszłam z gabinetu i wolno udałam się na salę mojego syna. Stałam w drzwiach i w jednym momencie zmieniałam się nie do poznania. Jak się zachowywałam? Tak, jak oczekiwało tego moje dziecko: byłam uśmiechnięta, zadowolona, mówiłam, że wszystko jest w porządku. Lekarze usunęli, co mogli usunąć, wyczyścili, co dało się wyczyścić, i jest OK. „Teraz wszystko zależy od ciebie, kochanie, teraz ty z całych sił musisz pragnąć żyć! – mówiłam. – Tylko wtedy zwyciężymy. Tylko wtedy wygramy tę walkę. A ty, skarbie, dasz radę! Bo jesteś jak skała! A my wiernie stoimy obok ciebie i wspieramy cię swoją miłością”.

Następnego dnia znów poszłam do gabinetu ordynatora. Emocje trochę już opadły i poprosiłam, aby raz jeszcze opowiedział mi o stanie mojego syna. Usłyszałam wszystko od początku, ale tym razem byłam już na to przygotowana i umiałam słuchać.

W czasie operacji lekarze usunęli jądro, od którego wszystko się zaczęło, ale niestety zostały trzy guzki na wątrobie, był przerzut na pęcherz moczowy, a do tego guz wielkości pięści w miednicy małej po prawej stronie. Nie mogli go wyciąć podczas operacji, bo był mocno połączony z naczyniami krwionośnymi i Marcin wykrwawiłby się na stole operacyjnym. Lekarz nie ukrywał prawdy, choć była ona straszna. Mówił, że zostało nam jedynie modlić się do Boga, bo życie naszemu synowi może uratować tylko cud. A cuda przecież się zdarzają... Nie dawał mi złudnej nadziei.

Za tę prawdę z całego serca dziękuję, panie ordynatorze. Choć była ona tak okrutna i bolesna, mobilizowała mnie do walki.

Po operacji pojawiły się kolejne problemy. Chemia zdążyła już poczynić spustoszenia w organizmie Marcina. Miał gorszą krzepliwość krwi i doszło do krwotoku z operowanego jądra. Pojawiła się też obawa, że syna trzeba będzie jeszcze raz operować. Marcin bardzo się tego bał. Widziałam, że jest wystraszony, wręcz przerażony. Pocieszałam go więc, jak umiałam. Sama jestem po pięciu operacjach, więc powtarzałam mu, że takie rzeczy się zdarzają, że wszystko wróci do normy i będzie dobrze. Mój chłopiec chłonał każde słowo, patrząc mi głęboko

w oczy. Dzięki doświadczeniu i mądrości lekarzy sytuację udało się opanować.

Czas mijał, a ja widziałam, że pobyt syna na oddziale chirurgii onkologicznej zaczyna nas do siebie zbliżać. Wcześniej nasze relacje były różne, Marcin był bardzo skryty, uparty, trudno było do niego dotrzeć. Nie znaczy to, że z tego powodu mniej go kochałam niż pozostałych synów, po prostu trudniej mi się z nim rozmawiało. Czasami odnosiłam wrażenie, że gubi się w tym zwariowanym świecie i trudno będzie mu poradzić sobie w dorosłym życiu. Ciągle czegoś szukał, coś chciał zmieniać. Był niezadowolony z kolejnych szkół, co chwila chciał się przenieść. Gdy udało mu się skończyć szkołę średnią, podjął pracę, ale nie dawała mu ona satysfakcji. Kolegów też miał różnych: i takich, do których miałam zastrzeżenia, i tych wspaniałych, którzy trwali przy nim do samego końca. (Marku, Łukaszu, Marcinie, dziękuję wam w jego imieniu. Chwała wam za to, co zrobiliście! Byliście dla niego jak koło ratunkowe na środku oceanu).

Z perspektywy czasu i dzięki doświadczeniu, jakiego nabyłam w czasie jego choroby, coraz lepiej go rozumiem. Teraz sama troszkę jestem taka, jaki był mój syn. Zresztą mamy bardzo podobne charaktery.

Bardzo, ale to bardzo mi go brakuje. Tęsknię za nim tak, że nie potrafię nawet ująć tego w słowa. Chciałabym coś zmienić w swoim życiu, ale nie wiem co. Czegoś szukam, ale nie wiem czego. Jestem bardzo zagubiona i samotna. Tak ciężko mi żyć z tą pustką, jaka została po moim synu.

Często rozpamiętuję to, co się stało. Ale nikt nie zna tego mojego smutnego oblicza, bo wychodząc do ludzi, pokazując się światu, mam zawsze uśmiech na twarzy. Mało kto widział mnie płaczącą.

Mój syn coraz gorzej radził sobie z tym, co zesłał mu los. Po operacji miał kolejne cykle chemioterapii, ale niestety efekty leczenia nie były zadowalające. Nie wiem, na ile zdawał sobie z tego sprawę. Lekarz mówił mi, że Marcin zna prawdę, że nic przed nim nie ukrywają. Ja nie mogłam z nim o tym rozmawiać, taka była umowa między nami. Tak bardzo było mi go żal. Jeśli byłoby możliwe, abym wzięła na siebie jego chorobę i podarowała mu długie życie w zdrowiu, nie wahałabym się ani minuty. I on o tym wiedział.

Dlaczego piszę tylko o sobie? Bo wyrażam w tym pamiętniku swoje uczucia, myśli i refleksje. Prawie nigdy nie rozmawiałam z mężem o chorobie syna, jedynie wtedy, gdy wspólnie podejmowaliśmy decyzje z nią związane. Pozostałych dorosłych synów: dwudziestoletniego Pawła i siedemnastoletniego Łukasza sytuacja także przeszła. Był jeszcze siedmioletni Piotruś, bardzo związany ze starszym bratem. Kiedy tylko mógł, starał się być przy Marcinie, głaskał go po plecach, po rękach. To bardzo mądry chłopiec. Nieraz mówił do mnie: „Mamuś, ja wiem, że Marcyś jest bardzo chory i może umrzeć, ale wtedy Bozinka weźmie od niego ten ból i już mu będzie lepiej, już nie będzie cierpieć”.





Marcin z mamą. Sianożęty, 1985



Wczasy we Władysławowie, 1991.  
Na zdjęciu: Beata i Krzysztof z synami, Marcinem i Pawłem